

CYKL Z NADKOMISARZEM ZAKRZEWSKIM

Mieczysław  
**GORZKA**  
**DZIEWIĘĆ**



BUKOWY LAS



# 1

Postanowił, że już nigdy więcej.

Po ostatnim razie czuł do siebie tylko obrzydzenie. Nie pomagały alkohol, prochy, nie pomagało szorowanie skóry do krwi pod gorącym prysznicem, sen nie przynosił ulgi, drażniąca pokuta nie zbliżyła go ani o milimetr do Boga. To był koszmar, który trwał przez wiele tygodni. Na ulicę wychodził dopiero po zmroku, ponieważ bał się, że ktoś zobaczy czerwone plamy krwi na jego skórze. Oczywiście żadnych plam już nie było, nie mógł jednak pozbyć się niepokoju. Przegał moment, w którym podniecenie zmieniło się w ból, rozkosz w psychiczną udrękę, a ekstaza w cierpienie. Nie zostało nic, prócz poczucia zbrukania, obrzydzenia do samego siebie i wściekłości.

Wtedy postanowił, że już nigdy więcej tego nie zrobi. I danego sobie słowa dotrzymał. Nie tylko sobie. To była również obietnica wobec Najwyższego. Wobec Stworzyciela największego dobra we wszechświecie – życia. A on przecież wielokrotnie występował przeciw Bogu, występując przeciw życiu. Niszcząc je, plugawiąc i odbierając je niewinnym, nieświadomym niczego istotom. Pewnie dlatego Bóg go ukarał, zmieniając dawną rozkosz i podniecenie w cuchnące cierpienie i skazując go na piekło wyrzutów sumienia. To była kara za grzech. Za grzech ostateczny i niewybaczalny. Grzech przeciw życiu.

Długie dni spędzał na studiowaniu Pisma Świętego i nagle dostąpił objawienia. Kątem oka zobaczył nadlatujący z nieba promień światła. Zanim zdążył zareagować, promień uderzył go w skroń i pozbawił świadomości. Długo leżał na podłodze pod fotelem. Czy to była boska kara? Czy w ten sposób Bóg naznaczył go piętnem mordercy? Wielkim czerwonym znamieniem na skroni, oznaczającym napiętnowanego i wygnanego do krainy cierpienia? Usiadł, opierając się plecami o nogę od stołu, i dokładnie obmacał skroń. Nie, żadnego znamienia nie było. To nie była kara. To było objawienie. Nic nie jest ostateczne. Nie ma niewybaczalnych grzechów. Nawet najzwardzialsi grzesznicy mogą jeszcze zyskać szansę na zbawienie. Trzeba tylko żałować za grzechy i przyjąć z pokorą wyznaczoną pokutę.

On przyjął pokutę w pełni świadomy, że nie będzie drugiej szansy. Tylko ta jedna i ostatecznie ostatnia. Uspokoił się. Cierpienie, a przede wszystkim nieokiełznane pożądanie, które dotąd pchało go do tych wszystkich straszliwych czynów, gdzieś zniknęło. Musiał tylko dużo się modlić, czytać Biblię i uczęszczać do kościoła na msze.

Nagle poczuł się cudownie. Jakby narodził się na nowo wolny i nieskalany. Biała i nieskażona grzechem dusza. Tak było przez kilka lat.

I nieoczekiwanie wszystko się rozsypało.

Pamiętał, kiedy to się stało. Kilka dni wcześniej otrzymał wiadomość i następnego ranka obudził się później niż zwykle. Od razu poczuł, że destrukcyjne, niszczące wszystko na swojej drodze pożądanie powróciło w zwielokrotnionej formie. Bóg się od niego odwrócił, a jego miejsce zajął diabeł z samego dna piekielnych czeluści. Nie mógł się opanować. Zrozumiał, że okres ukojenia był tylko żartem Boga. Częścią nieuniknionej kary za przeszłe grzechy. Koszmarną drwiną istoty wszechmogącej ze słabego człowieka. Skończyła się, kiedy on poczuł się wolny i rozgrzeszony. Kara mniejsza –

drwina z grzesznika. Teraz czas na karę większą. Ostateczne cierpienie i potępienie. Upadek.

Po następnych kilku dniach walki z samym sobą pojechał do najbliższego marketu budowlanego po farbę. Kupił dwie puszki antykorozyjnej i dwie srebrnej farby do metalu. Trzeba było naprawić kratę. Przez ostatnie lata w piwnicy pokryła się warstwą rdzy i nie nadawała się do użycia. Malował cały dzień z bolesną erekcją w spodniach. Bał się nawet, że naczynia krwionośne popękają i wykrwawi się w kilka minut. Nic takiego nie nastąpiło. Potem zaczął się zastanawiać. Nie używał piwnicy przez ostatnie lata. Budynek przez ten czas się zestarzał, do pomieszczenia wkradała się wilgoć. Następnego dnia kupił kilka grzejników dmuchających ciepłym powietrzem. Od tej pory pracowały przez cały czas. Może nie osuszyły pomieszczenia, ale na pewno zapewniały ciepło.

Dwa dni przed podjął ostatnią próbę. Nie liczył na powodzenie, ciągle jednak wierzył w boskie miłosierdzie. I choć w ostatnim czasie przestał myśleć o Bogu jako o istocie miłosiernej i skłonnej przebaczać, postanowił dać mu ostatnią szansę. Poszedł do kościoła.

Kilkanaście minut piechotą przez las, potem przez park, i znalazł się przed małym wiejskim kościółkiem, ogrodzonym niskim murem i otoczonym kilkunastoma starymi nagrobkami zasłużonych obywateli i księży pracujących dawniej w parafii. Zapadł już zmrok, było zimno, nad leśnymi drogami wisiała lodowata mgła. Kwiecień plecień, bo przeplata. Teraz akurat przypomniał sobie o zimie.

Wszedł przez bramę i zatrzymał się. Poczul na sobie czyjś wzrok. Jakaś masywna postać patrzyła na niego z pogardą ze szczytu kościelnej wieży. Znowu poczul się zbrukany. Odruchowo opuścił głowę i chciał się wycofać. Wtedy zaprotestował diabeł, który już na dobre rozgościł się w jego duszy. Nie może okazać słabości. Musi stawić czoło temu zdrajcy, który mamlił go lepszym życiem, a teraz porzucił.

Począł, aż ludzie wyjdą z wieczornego nabożeństwa, po czym naciągnął czapkę z daszkiem bardziej na oczy, na głowę zarzucił kaptur bluzy i wszedł do środka. W nozdrza uderzył go zapach świec, kadzidła, stęchlizny i czegoś jeszcze. To był bliżej niesprecyzowany zapach, wyczuwalny w każdym starym kościele. Poczł mdłości, ślina napłynęła mu do ust. Może to był zapach odstrasający takich potępieńców jak on? Osób opętanych przez złó, poddanych woli diabła i wykonujących posłusznie wszystkie jego rozkazy.

– I tak wejść! – powiedział może odrobinę zbyt głośno i spojrzł prosto w tabernakulum.

Jego głos rozszedł się echem po pustym wnętrzu. Główne światła były zgaszone. Tylko w dwóch bocznych nawach świeciły się elektryczne świece, z zakrytą słyhać było przyciszone rozmowy. Pewnie ksiądz się jeszcze przebierał i pomagali mu ministranci.

Postąpił dwa kroki i stchórzyl. Zamiast przed głównym ołtarzem stanął przed boczną nawą, gdzie wisiała figura przybita do krzyża. Spod półprzymkniętych powiek patrzył na niego cierpiący człowiek, na czole miał krew z ran od cierniowej korony, z przebitego boku wypływały krew i woda.

Odważył się i spojrzł mu w oczy.

– Podobno cierpiałeś przez ludzkie grzechy – szepnął. – Dlaczego w takim razie pozwalasz, żeby ja też tak cierpiał? Dlaczego mnie opuściłeś, kiedy ja teraz najbardziej ciebie potrzebuję? Nie widzisz tego? Ja już uległem pokusom. Pomóż mi, bo stanie się coś strasznego i nieodwracalnego.

Mierzyli się wzrokiem, lecz figura pozostała tylko figurą. Kawalkiem martwego drewna, któremu nieznaną rzeźbiarz nadał formę. Nic więcej.

Nagle poczuł zbierającą w nim wściekłość.

– Ciebie nie ma – wyszczał przez ściśnięte gardło. – Umarłeś na tym krzyżu. Nie było żadnego zmartwychwstania, nie

ma żadnego życia wiecznego. To wszystko kłamstwo. Twoje ciało zgniło w grobie. To później ubrano cię w boskie szaty, ale prawda jest bardziej przyjemna. Nie ma Boga, jest tylko człowiek.

Zaśmiał się, jakby nagle odkrył coś bardzo ważnego. Jednocześnie poczuł podniecenie, które natychmiast zmieniło się w potężną erekcję. Nieświadomie zaczął masować sobie przez spodnie główkę penisa. Na jego twarzy wykwitał coraz bardziej demoniczny uśmiech.

– To tylko oszustwo – śmiał się pod nosem. – Kłamstwo powtarzane przez pokolenia dla władzy, przywilejów i bogactwa. Kasta kapłanów rządzi światem. Tak było we wszystkich starożytnych kulturach, tak jest i teraz. Ludzie pozostają zawsze tacy sami, żądni władzy i pieniędzy.

Znowu zaniósł się śmiechem. Włożył sobie rękę w spodnie i onanizował się jawnie, patrząc w oczy ukrzyżowanego.

– I co mi teraz zrobisz? – zakpił. – Porazi mnie błyskawica, rozstąpi się ziemia, dopadną mnie jakieś kurewsko męczące plagi? Gównu możesz!

Drgnął, kiedy nadszedł orgazm. Przymknął oczy i skrzywił się. Ból znowu był większy od rozkoszy.

– Co pan tu robi!?

Zajęty ubliżaniem Bogu nie zauważył, kiedy nadszedł ksiądz. Teraz stał i patrzył na niego szeroko otwartymi oczami, w których wyraźnie malowało się przerażenie.

Nie zastanawiał się ani sekundy. Skoczył do duchownego i dwoma ciosami w splot słoneczny i w twarz powalił go na posadzkę. Ksiądz runął bezwładnie jak worek ziemniaków, zalewając się krwią.

On nie czekał, co będzie dalej. Wybiegł z kościoła i tą samą drogą ruszył biegiem do domu.

Teraz wiedział, że już nic go nie powstrzyma.

Wystarczyła chwila nieuwagi i stracił czujność.

Cała euforia po znakomitym, jego zdaniem, wywiadzie, przeprowadzonym przez sympatyczną i wyjątkowo ładną panią redaktor, która najwyraźniej w świecie flirtowała z nim poza anteną, ulotniła się jak gaz z nieszczelnej butli. Wolne miejsce po tym cudownym uczuciu stopniowo zajmowały wściekłość i strach. Cholerny stary dziad, który ślinił się na widok pięknej kobiety i natychmiast stracił rozum. Niech to szlag trafi!

Kiedy wyszedł z budynku Polskiego Radia Katowice, nie zauważył niczego niepokojącego. Tylko czy zwracał uwagę na to, co dzieje się wokół? Raczej nie. Zbiegł szybko po schodach. Pogoda była fatalna, wzdłuż ulicy Ligonii biegły głębokie, wypełnione wodą wykopy, przygotowane pod nowe rury kanalizacyjne. Przeskoczył kładkę nad wykopem, przeszedł na drugą stronę ulicy i ruszył wolno chodnikiem wzdłuż ulicy Królowej Jadwigi, z rękami wciśniętymi głęboko w kieszenie kurtki. Było chłodno, wiał zimny wiatr, niosąc ze sobą drobinki deszczu. Słońce już zaszło, a chmury wisiały nisko, spowijając miasto pogrzebowym całunem. Był jednak w wystarczająco dobrym humorze, żeby nie zwracać uwagi na takie szczegóły. Ktoś napisał sprayem na budynku: Górniczy Klub Sportowy Katowice. Napis przypominał mu dawne dobre czasy. Był wielkim kibicem Gieksy, zanim afery strąciły ją na samo dno. Teraz nawet nie orientował się, w której lidze gra.

Usłyszał, jak jakieś auto przyhamowuje za jego plecami. Powinien był się obejrzeć, ale tego nie zrobił. Trzasnęły drzwiczki, usłyszał kroki, samochód ruszył i zrównał się z nim. Adam Markiewicz rzucił na niego okiem i się przestraszył. Czarne porsche cayenne z przyciemnionymi szybami. Znał bardzo dobrze to au-



to. Zatrzymał się, żeby ocenić szanse na uniknięcie przykrego spotkania, gdy nagle poczuł twardą dłoń na swoim ramieniu.

– Szeef prosi pana na rozmowę – szepnął mu do ucha niezbyt życzliwy głos.

Pochylał się nad nim lousy mięśniak, którego na mieście nazywali Gruby. Ksywka nieadekwatna do wyglądu. Co prawda był wielki, ale nie było na nim ani grama tłuszczu. Takiego zaproszenia nie można było zignorować. Markiewicz potulnie poszedł w kierunku porsche. Tylne drzwi się otworzyły, Gruby prawie wepchnął go do środka i wsiadł za nim. Auto ruszyło z piskiem opon i zaraz skręciło w Jagiellońską w kierunku placu Bolesława Chrobrego.

Adam siedział na tylnej kanapie pomiędzy Grubym a innym mięśniakiem, którego nazywali Miluś. Może przypominał smoka, ale na pewno nie tak sympatycznego jak ten z komiksów o Kajku i Kokoszu. Kamil Małecki odwrócił się do niego z siedzenia pasażera i na jego twarzy pojawił się grymas, który tylko w ostateczności można było nazwać uśmiechem.

– Pan detektyw Markiewicz, miło mi cię w końcu zobaczyć – powiedział, udając wylewność. – Ostatnio chyba mnie trochę unikałeś, nieprawdaż?

Adam z trudem przełknął ślinę. Skoro szef największej grupy przestępczej na Górnym Śląsku osobiście pofatygował się, żeby z nim porozmawiać, nie było dobrze. Strach już całkowicie zastąpił w jego duszy euforię. Bałwan – zganil się w myślach – sam jesteś sobie winien.

– Cześć, Kamil – powiedział, z trudem przezwyciężając suchość w ustach. – Jakoś tak się ostatnio nie składało. Wiesz, dużo obowiązków...

Małecki patrzył na niego z kamienną twarzą, z której niewiele można było wyczytać.

– Taaaak – mruknął przeciągle. – Każdy ma dużo obowiązków. Ja też mam dużo obowiązków, Gruby ma, Miluś ma,

i nawet Rudy. – Wskazał palcem na kierowcę. – Rudy też, kurwa, ma jakieś obowiązki, nieprawdaż?

– Tak, szefie – przytaknęli jak na komendę goryle.

Markiewicz kątem oka obserwował, dokąd jadą. Przejeżdżali akurat pod wiaduktem kolejowym na Francuskiej. Miał tylko nadzieję, że nie jadą za miasto. Już prawie widział siebie w scenie jak z przeciętnego filmu o gangsterach. Środek lasu, szpadel, dół i pistolet wycelowany w jego głowę. Z trudem otrząsnął się z tej wizji. Nie, jeszcze nie teraz.

– Obowiązki obowiązkami, ale od czasu do czasu trzeba znaleźć chwilkę, żeby spotkać się ze znajomymi, nieprawdaż? – kontynuował Małecki. – Mam nadzieję, że nie zacząłeś mnie unikać. Co, Adam?

Markiewicz szybko pokręcił głową.

– Jeśli tak to odebrałeś, przepraszam – rzucił szybko. – Naprawdę nie chciałem, żebyś tak myślał. Taki mamy cholerny wyścig szczurów. Brak czasu.

Kamil Małecki patrzył na niego z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

– Tak – odezwał się wreszcie. – Trudno nie przyznać ci racji. Dlatego jak tylko usłyszeliśmy w radiu, że masz wywiad, postanowiłem z tobą pogadać. Byliśmy blisko, nieprawdaż?

Zerknął na goryli, którzy natychmiast gorliwie pokiwali głowami.

– Z wielką uwagą słuchaliśmy tego, co masz do powiedzenia – mówił dalej Małecki. – Zawsze cię podziwiałem, Adam, jak ty świetnie wypadasz w mediach. Jesteś takie zwierzę medialne, prawie jak Wojewódzki. Nie dziwię się, że redaktorzy tak lubią zapraszać cię do swoich programów. Teraz też wypadłeś bardzo dobrze. A jak tam piękna pani redaktor – jak ona ma na nazwisko? Krynicka! Flirtowała z tobą, nieprawdaż?

Markiewicz poczuł nagle, że robi mu się niedobrze. Ty stary durniu – jęknął w duchu. Cieszyłeś się, że ona robi do ciebie maślane oczy.

– Wiesz, miałem ostatnio chwile słabości i pomyślałem sobie, że mnie unikasz, ponieważ nie masz z czego oddać długu. – Małecki zrobił pauzę, uważnie wpatrując się w twarz Markiewicza. – W końcu czterysta tysięcy to nie jest mała kwota.

– Trzysta trzydzieści – poprawił go machinalnie.

– Adam, czy ty uważasz mnie za naiwniaka, czy sam takiego zgrywasz? Umawialiśmy się na procent. Ja nie jestem instytucją charytatywną, pożyczam, ponieważ chcę na tym zarobić.

Adam zrobił się czerwony na twarzy.

– Ale aż tyle? – jęknął. – Umawialiśmy się na niewielki procent.

– To prawda. Gdybyś spłacił mnie w terminie, nie wziąłbym dużo, może tyle co w banku. Tylko że ja nie jestem bankiem. Gdybym miał te pieniądze, mógłbym zainwestować je w bardzo intratną transakcję. Tyle bym właśnie na niej zarobił. Nie zainwestowałem, więc oczekuję, że pokryjesz mi straty. To chyba uczciwe, nieprawdaż?

W aucie zapanowała nagle pełna napięcia cisza. Markiewicz przelknął głośno ślinę i zerknął za okno. Ominęli Rynek od północnej strony, przejechali rondo Bolesława Chrobrego i teraz jechali Murckowską w kierunku A4. Niedobrze, ocenił.

– Tak, uczciwe – przyznał niechętnie.

– Cieszy mnie, że się rozumiemy. – Po raz pierwszy na twarzy Małeckiego pojawił się naprawdę szczery uśmiech.

Wyjął z kieszeni e-papierosa i pociągnął dwa razy. Biały obłok szybko zniknął, a jego miejsce zajął orientalny zapach.

– Więc tak jak już mówiłem wcześniej – kontynuował – miałem chwilę słabości i pomyślałem, że może nie masz takich pieniędzy, żeby mi oddać.

– Kamil, mam pieniądze. To tylko kwestia kilku dni i oddam ci całą kasę z odsetkami i rekompensatą – zapewnił szybko Markiewicz.

Na twarzy jego rozmówcy znowu pojawił się ten nieodgadniony, niepokojący wyraz. Znowu zaciągnął się elektronicznym papierosem.

- Mówisz, że to tylko kwestia dni – mruknął jakby do siebie.
- Wiesz, postanowiłem sprawdzić stan twoich finansów.

Adam Markiewicz poczuł lodowaty dreszcz strachu na plecach. Było gorzej, niż przypuszczał.

– Pomyślałem sobie, że w razie gdybyś był niewypłacalny, masz przecież słynną na cały kraj agencję detektywistyczną. W zamian za te czterysta tysięcy mógłbym objąć udziały w twojej firmie. Dlatego wysłałem Grubego do Krajowego Rejestru Sądowego po sprawozdanie finansowe spółki z ograniczoną odpowiedzialnością Markiewicz i Wspólnicy. Wbrew pozorom Gruby nie jest taki głupi. Powiedz nam, czego się dowiedziałeś w KRS.

Gruby uśmiechnął się od ucha do ucha, prezentując nieco zaniedbane zęby.

– Od dwóch lat spółka wykazuje straty – zaczął Gruby z wyraźnym samozadowoleniem. – W sumie to już prawie trzysta tysięcy. Poza tym ma spore długi. Są to niespłacone zobowiązania wobec kontrahentów i firm leasingowych oraz spory kredyt w banku. Wspólnicy już dwa lata z rzędu podejmują uchwały o kontynuacji działalności, mimo że zobowiązania przekroczyły dwukrotność kapitałów.

Gruby zawahał się i widać było, że jego samozadowolenie wyraźnie spadło.

– Czy jakoś tak – zakończył szybko.

Kamil Małecki pokiwał tylko głową i znowu zaciągnął się e-papierosem. Kierowca na szczęście skręcił z Murckowskiej w lewo i znowu zbliżali się do centrum miasta. Uliczne światła wpadały do wnętrza auta, tworząc przesuwające się szybko cienie. Adam trochę się uspokoił.

– Tak więc nie opłaca się przejmować udziałów w twojej firmie – odezwał się Małecki. – Po co mi kolejny strup na głowie i inwestycja, która zwróci się nie wiadomo kiedy, nieprawdaz? Ale wierz mi, wtedy jeszcze się nie zaniepokoiłem. Każdy może

mieć przejściowe kłopoty i złą passę w biznesie. No zdarza się. Sam prowadzę różne biznesy, to wiem. Pomyślałem sobie, że przecież masz podpisany bardzo dobry kontrakt z mainstreamową telewizją na cykl programów. Jakbym przejął ten kontrakt, mógłbym szybko odzyskać dług. Zatelefonowałem więc do mojego starego przyjaciela do zarządu telewizji i wiesz, czego się dowiedziałem?

Małecki zawiesił głos. Adam już wiedział, co za chwilę usłyszy.

– Okazało się, że telewizja jakiś czas temu rozwiązała z tobą umowę i nie będzie więcej przygód dzielnego detektywa Adama Markiewicza, emitowanych w porze najlepszej oglądalności. Przyznam ci się, że trochę się zmartwiłem. Jeszcze nie zaniepokoiłem się o swoje pieniądze, tak po przyjacielsku było mi ciebie żal. Bez takiego kontraktu, przy tak kiepskiej kondycji finansowej, spółka jest zagrożona upadłością. – Spojrzał szybko na siedzącego obok goryla. – Tak było, Gruby?

– Tak jest, szefie.

Markiewicz coraz bardziej zapadał się w tylną kanapę między dwoma mięśniakami. Na wszelki wypadek się nie odzywał.

– Tak jak już mówiłem, niepokój przyszedł później. – Można było odnieść wrażenie, że Małecki opowiada fabułę sensacyjnego filmu obejrzanego dzień wcześniej i specjalnie stopniuje napięcie. – Przypomniałem sobie, że przecież masz duży dom w dobrej lokalizacji niedaleko centrum Katowic. Szybko oszacowałem, że mógłby być wart sporo ponad pół dużej bańki. Dla mnie by wystarczyło, a i tobie odpaliłbym resztę. Więc Gruby sprawdził mi ten dom.

Gruby szturchnął Adama pod zebro i wyszczerzył się do niego.

– Ku mojemu rozczarowaniu dowiedziałem się, że ten dom nie należy już do ciebie. – Gospodarz spotkania wypuścił z ust kłąb aromatycznej pary z e-papierosa. – Ponad rok temu rozwiodłeś się i przy podziale majątku dom przypadł twojej eks-żonie, która zresztą zaraz go sprzedała i ulotniła się. Zadałem

sobie nawet trud i ją odnalazłem. Wiesz, że mieszka w Alicante z jakimś młodszym facetem? Podać ci jej adres?

– Nie. – Detektyw niechętnie pokręcił głową.

– Tak myślałem. W tym momencie zacząłem się o ciebie martwić. Sprawdziłem, gdzie teraz mieszkasz, i kolejne rozczarowanie. Wynajem mieszkania w centrum jest dość kosztowny. Moim zdaniem to strata gotówki. Nie stać cię na takie mieszkanie. Boleśnie się spada z wysokiego konia. Trudno jest przywyknąć, nieprawdaż?

Markiewicz tylko zacisnął szczęki i milczał.

– Kiedy wreszcie odkryłem, że nie masz kasy, zacząłem się zastanawiać, na co wydałeś pożyczone ode mnie pieniądze. Robiliśmy nawet zakłady, na co poszły. Ja obstawiałem, że masz jakąś młodą dupę na mieście, która ma swoje wymagania finansowe. Wiesz, facet przed pięćdziesiątką daje się czasem omotać młodej, ładnej i przede wszystkim sprytnej paniencie. Widziałem już kilka takich przypadków. Gruby, na co ty stawiałeś, bo nie pamiętam?

– Na spłatę kredytu we frankach – zarechotał Gruby.

– A ty, Miluś?

– Obstawiałem dofinansowanie spółki – mruknął drugi gość, który nie bawił się sytuacją tak dobrze jak jego kolega.

– No widzisz. Nie podejrzewaliśmy cię o złe rzeczy – pokiwał głową Małecki i w jednej chwili jego twarz się zmieniła.

Wyglądał teraz jak rozwścieczony lew, szykujący się do ataku na bezbronną gazelę.

– Wyobraź sobie moje rozczarowanie, kiedy odkryłem, że pożyczone pieniądze przegrałeś w kasynie. – Ton jego głosu sprawił, że we wnętrzu auta temperatura spadła o kilka stopni. – Nie wiedziałem, że jesteś cholernym hazardzistą. Miałem cię dotąd za rozsądnego faceta, nie uwierzyłbym, że jesteś uzależniony od hazardu. Do jasnej cholery! Ja cię nawet lubiłem, Adam. A teraz tak mnie rozczarowałeś!

– Kamil, posłuchaj... – odezwał się Markiewicz, nerwowo rozglądając się po bocznych szybach i oceniając, dokąd jedzie auto.

Znowu Francuska, jeździli w kółko.

– Nie! – przerwał mu Małecki lodowato. – To ty mnie, kurwa, posłuchaj. Przegrałeś moje pieniądze. To mnie boli, ponieważ ci zaufałem. Ale nie to jest najgorsze. Wiesz, co mnie najbardziej wkurwia? Przegrałeś je w kasynie należącym do Piotra Raweckiego! Mam ci powiedzieć, kto to jest Rawecki?

– Nie. – Pokręcił głową Markiewicz.

Rawecki był właścicielem sieci kasyn i największym rywalem Małeckiego w szemranych interesach finansowych. W samochodzie zapanowała nagle cisza. W tej ciszy Adam poczuł się jeszcze gorzej, niż słuchając słów dawnego kolegi. Chciał coś powiedzieć, lecz w głowie miał przerażającą pustkę. Nie potrafił się skupić na niczym poza śledzeniem, dokąd jadą. Kierowca właśnie zatrzymał się na parkingu przy Uniwersytecie Śląskim. Cisza się przeciągała. Małecki odwrócił się i pociągał e-papierosa. O szyby zabębniły pierwsze mocniejsze krople deszczu.

WYDAWNICTWO BUKOWY LAS



wydawnictwobukowylas



bukowy.las

www.bukowylas.pl

**KUP TERAZ**



swiatksiazki.pl



## WSZELKA NADZIEJA UMIERA, KIEDY NIKT NIE CHCE CIĘ ZNALEŹĆ...

Córka wrocławskiej milionerki Doroty Nowackiej zostaje porwana. Matka wynajmuje agencję detektywistyczną. Prywatnie prosi też o pomoc dawnego przyjaciela, nadkomisarza Marcina Zakrzewskiego. Zakrzewski szybko dostrzega skomplikowaną siatkę podejrzanych powiązań Nowackiej i nieczystą grę policji. Równocześnie odkrywa, że okoliczności porwania dziewczyny są dokładnie takie same jak te sprzed ośmiu lat, kiedy na Dolnym Śląsku grasował zabójca nastolatek. Tylko że tamta sprawa została przez policję rozwiązana... Czy na pewno? W miarę zapoznawania się ze szczegółami śledztwa z przeszłości Zakrzewski jest coraz bardziej podejrzliwy, a czas płynie nieubłaganie.

Nr 21000202

ISBN 978-83-8074-699-2



9 788380 746992



[bukowylas.pl](http://bukowylas.pl)

Cena: 49,90 zł